

Wschód i my

2 lipca 2014

O wschodnich sąsiadach, roli mediów w polskiej polityce zagranicznej, o informacjach z zagranicy w polskich mediach i o Telewizji Biełsat rozmawiamy z Agnieszką Romaszewską.

MARCELI SOMMER: Od kilku lat szefuje Pani Telewizji Biełsat – jest to projekt TVP skierowany do odbiorców białoruskich, źródło informacji alternatywne wobec oficjalnych, łukaszenkowskich. Proszę opowiedzieć, jak działa Biełsat, jaka jest w nim rola dziennikarzy białoruskich, a jaka polskiego „kierownictwa”?

AGNIESZKA ROMASZEWSKA: Moje zaangażowanie w ten projekt liczy sobie już 8 lat, bo pierwsze prace w celu jego uruchomienia zaczęły się jeszcze w połowie 2006 roku. W 2007 r. wystartowaliśmy z pierwszą godziną programu. W tej chwili – co pokazuje, jaką drogę przeszliśmy – nadajemy 17 godzin dziennie, z czego mniej więcej 3 godziny to nasz materiał premierowy, którego najistotniejszą część stanowi tzw. blok na żywo, czyli klasyczna telewizja informacyjna plus publicystyka, dyskusje itp. Do tego mamy programy kulturalne, ekonomiczne, własnej produkcji filmy dokumentalne i reportaże oraz programy interwencyjne. O kształcie poszczególnych materiałów i o doborze repertuaru decydują nasi białoruscy partnerzy – bo Biełsat jest wspólną inicjatywą Polaków i Białorusinów. Już zakładając Biełsat wychodziłam zresztą z założenia, że sama nie chcę ani nie jestem w stanie tworzyć telewizji dla białoruskiej publiczności, nie mam i wręcz nie powinnam mieć na nią szczegółowego pomysłu, że moja rola musi się kończyć na wskazywaniu pewnego bardzo ogólnego kierunku i bieżących korekt techniczno-warsztatowych. W szczególnych sytuacjach można sobie oczywiście wyobrazić, że powiedziałabym jakiemuś materiałowi non possumus, ale nigdy z takiej możliwości – w sensie prewencyjnym – nie skorzystałam. Od początku istnienia stacji przypominam sobie jedynie pojedyncze

przypadki, kiedy już po emisji jakiegoś materiału zgłaszałam zastrzeżenia na przyszłość, zwykle o charakterze technicznym czy warsztatowym. Generalnie wydaje mi się, że w przypadku takiego medium, jakim jest Telewizja Biełsat, model zarządzania oparty na daleko posuniętej autonomii zespołu redakcyjnego i dziennikarskiej samorządności, model, w którym moja rola jako szefowej polega głównie na pilnowaniu dziennikarskich standardów, jakości materiałów oraz współpracy przy ustalaniu długofalowej strategii, jest najwłaściwszy.

– A jakie znaczenie dla przekazu Biełsatu ma jego polski pierwiastek? W jakim sensie jest on polską stacją?

– Rola Polski jest przede wszystkim rolą kluczowego organizatora i największego sponsora naszego kanału. Czy ten fakt przekłada się jakoś na kwestie merytoryczne, na treść nadawanych przez nas programów albo na filozofię działania? Myślę, że polska geneza Biełsatu wiąże się z pewnym wyborem cywilizacyjnym, z tematyczną i kulturową orientacją naszej stacji na Zachód. Białoruś była i jest położona między Rosją a Polską i wybór takiej lub innej cywilizacji jest dla niej kwestią raczej niemożliwą do uniknięcia. Pod wieloma względami ten podział przebiega dziś w poprzek białoruskiego społeczeństwa. Istnieją inicjatywy kulturalne i media, w tym media opozycyjne, które orientują się przede wszystkim na Wschód, na Rosję; znanym przykładem dziennikarza o prorosyjskiej orientacji był np. Paweł Szeremiet, wieloletni współpracownik rosyjskiej telewizji państwowej, a jednocześnie założyciel opozycyjnego portalu Biełorusskij Partizan. Istotny dla tożsamości Biełsatu jest fakt, że podstawowym językiem naszego kanału jest białoruski – język marginalizowany przez lata, zarówno w czasach sowieckich, jak i za Łukaszuki, i to na tyle skutecznie, że dziś nieomal mniejszościowy. Zdecydowana większość populacji, zwłaszcza wielkomiejskiej i wykształconej, posługuje się na co dzień rosyjskim. Po białorusku – a raczej w rozmaitych dialektach i gwarach białoruskiego (często mocno już zrusycyzowanych) – mówi

jeszcze wieś, no i część patriotycznie nastawionej inteligencji. My pamiętamy, że rosyjski jest językiem nabytym, narzuconym przez zaborcę. Rusycyzacja kultury białoruskiej trwa niestety do dzisiaj. Doświadczeniem, które przeważało dla mnie szalę i zadecydowało o tym, że opowiedziałam się za jednoznacznym postawieniem na język białoruski, był mój pobyt w Grodnie i spostrzeżenie, że na ulicy słychać przede wszystkim rosyjski. To nowe zjawisko – w Grodnie zawsze można było usłyszeć białoruski, polski, w swoim czasie także jidysz, ale nigdy tyle rosyjskiego. Nie był tam popularny nawet w czasach zaborów.

Oprócz tego szerszego wyboru cywilizacyjnego i „zachodniej” optyki jest też kwestia podejścia do historii, przede wszystkim do historii Wielkiego Księstwa Litewskiego. Uważamy, że państwowość Wielkiego Księstwa Litewskiego jest niepodważalnym elementem białoruskiej spuścizny. Jednocześnie jest to oczywiście dziedzictwo, które łączy Białorusinów i Polaków, w którym kultura polska ma miejsce szczególne. Uważam, że ci narodowcy czy nacjonaliści białoruscy, którzy odcinają się od tej wspólnej historii, popełniają wielki błąd, bo wyrzekają się tym samym części swojej duszy. Kultura polskojęzyczna była istotnym składnikiem historii tej części świata przez kilkaset lat. Odrzucenie jej w całości, puszczanie w niepamięć, byłoby w moim odczuciu rodzajem tożsamościowej samokastracji.

– Akcentowanie przez Biełsat tej części historii stanowi jakiegoś rodzaju barierę w komunikacji z częścią białoruskiego społeczeństwa?

– Zdecydowanej większości białoruskiej publiczności historia Wielkiego Księstwa Litewskiego jest przede wszystkim kompletnie nieznana. Oficjalna historiografia uczy ich, że historia de facto zaczęła się podczas II wojny światowej, a raczej Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, w roku 1941. Wcześniej właściwie nic ciekawego, poza ciemieniem Białorusinów przez polskich panów, się nie wydarzyło. Wielkie Księstwo Litewskie

jako pozytywny punkt odniesienia jest więc praktycznie nieobecne, a jednocześnie bardzo potrzebne – jest to niemal jedyna alternatywa, jeśli chodzi o fundamentalne źródła tożsamości, wobec schedy sowieckiej. Jest jeszcze tradycja ludowa, związana z młodym nacjonalizmem przełomu XIX i XX wieku. Nie wydaje mi się jednak, aby miała ona potencjał wystarczający w XXI wieku. Jest anachroniczna, bowiem odwołuje się ona – i afirmuje – wyłącznie plebejski charakter Białorusi, starając się uczynić zeń fundament państwowości. Rozumiem kłopot z tym, że białoruskie warstwy wykształcone były przez wiele wieków spolonizowane kulturowo, ale odrzucenie tej złożonej części historii nie jest żadnym rozwiązaniem.

Z naszym, jak to określiłam, wyborem cywilizacyjnym wiążą się pewne wyzwania. Zdarza się, że wysuwane są wobec Biełsatu zarzuty, że jesteśmy „zbyt zachodni”. Co ciekawe, często chodzi nie tylko o idee czy geopolitykę, ale np. o wzorce estetyczne. Ważną częścią telewizji jest obraz, a wizualnie Biełsat prezentuje się inaczej (powściągliwiej) niż wiele telewizji białoruskich czy rosyjskich.

– Czy uzasadnione jest traktowanie Biełsatu jako instytucji wpisującej się w tradycję „prometejską”, wedle której Polska ma „misję cywilizacyjną na wschodzie”, polegającą w szczególności na wspieraniu i animowaniu ruchów demokratycznych i wolnościowych? Czy postrzega Pani swoją pracę w tych kategoriach?

– Bardzo nie lubię strojenia się w kostiumy historyczne. Działalność publiczna i polityka to nie zabawa w grupy rekonstrukcyjne. Ruch prometejski jest częścią historii dwudziestolecia międzywojennego. Do wielu jego idei i osób weń zaangażowanych czuję sympatię, myślę, że z ich doświadczeń możemy się wielu rzeczy nauczyć. Ale czasy bardzo się zmieniły. W czasie, kiedy funkcjonowali „prometejczycy”, nie istniały formalnie niepodległe państwa litewskie, białoruskie i ukraińskie. A to jest fundamentalna część rzeczywistości, z

którą mamy do czynienia dzisiaj. Uważam, że Polska niekoniecznie ma „posłannictwo” w stosunku do narodów Europy wschodniej czy Kaukazu, natomiast z pewnością ma tam interesy. W tym sensie moje myślenie zbliża się do tzw. realizmu politycznego, choć jednocześnie dochodzę do innych wniosków niż większość naszych realistów. W fundamentalnym, dobrze pojętym interesie Polski jest moim zdaniem funkcjonowanie w jak najlepszych relacjach z naszymi wschodnimi sąsiadami. Inaczej stajemy się krajem granicznym między Zachodem a rosyjską strefą wpływów – to niedobra i niebezpieczna dla nas rola. W dodatku tracimy wówczas perspektywy na rozwój. Polska jest dużym krajem, ale obecna sytuacja geopolityczna wyznacza nam rolę małego wagonika doczepionego do dużego niemieckiego pociągu. Samoistną rolę możemy odegrać wyłącznie w powiązaniu z krajami na wschodzie. Idealny dla nas scenariusz polityczny – oczywiście na razie wyłącznie ze sfery political fiction – to sytuacja, w której Ukraina wchodzi do Unii Europejskiej i pojawiają się szanse na przyciągnięcie Białorusi. Coś takiego natychmiast zmienia sytuację i układ sił w Europie. Na wschodzie wyrasta konglomerat dużych państw, które mają coś do powiedzenia. Polska i Ukraina łącznie mają 80 mln mieszkańców – tyle co Niemcy. Dlatego to jest sprawa kluczowa z perspektywy geopolityki i polskich interesów, a nie tylko misji. Choć oczywiście wspieranie ruchów prowolnościowych jest także nawiązaniem do najlepszych polskich tradycji.

– W ostatnim czasie wspomniani przez Panią realiści nie kryli nadziei w związku z deklarowanym przez Łukaszenkę poparciem dla integralności terytorialnej Ukrainy. Według nich stanowi ono argument za poprawą naszych relacji z białoruskim reżimem.

– Nasi „mali realiści” są jak dzieci, biorący pozory za rzeczywistość. Jeśli ktoś nazywa się realistą, powinien zdawać sobie sprawę z tego, że najważniejsze jest nie to, co ktoś mówi, ale jego realne uwarunkowania. Mówiąc o Łukaszence trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że on nie ma żadnej niezależności od Rosji. Może sobie robić miny, ale nie zmienia

to faktu, że gospodarka białoruska funkcjonuje dziś dzięki rosyjskiej „kroplówce” – opiera się bowiem na przetwarzaniu surowców energetycznych z Rosji, nabywanych po bardzo niskich cenach. Ta kroplówka w każdej chwili może zostać zatrzymana. A energetyka to nie jedyny obszar białoruskiej gospodarki, który znajduje się pod silnym wpływem Rosji. Wystarczy przyjrzeć się chociażby rynkowi nieruchomości czy przemysłowi chemicznemu. Jeśli spojrzy się nie na to, co Łukaszenka mówi, ale na to, co rzeczywiście może, to stanie się jasne, że jego niezależność od Rosji jest fikcją. Białoruś jest krajem znacznie mniej suwerennym niż Ukraina, której siłą jest dużo większy potencjał rozwojowy.

– Czy Telewizja Biełsat, oprócz funkcji niezależnego medium jest także – w pozytywnym sensie tego słowa – projektem politycznym?

– Oczywiście. Biełsat to projekt finansowany przez jeden kraj dla drugiego kraju. Mówienie, że jest apolityczny, byłoby w tym kontekście niepoważne. Biełsat nie ma natomiast na celu konkretnych, doraźnych rezultatów politycznych, nie posiada szczegółowej agendy dla Białorusi. Gdy mnie pytają „Dlaczego jeszcze nie obaliliście Łukaszenki?” albo stawiają nam zarzuty, że nie jesteśmy skuteczni jako narzędzie politycznych przemian, odpowiadam, że nie po to powstał. Obalić władzę mogą tylko obywatele, jeśli będą tego chcieli i jeśli mieli będą ku temu sprzyjające warunki. Naszym celem jest działanie na rzecz długofalowego zbliżenia Białorusi do Europy i porozumienia polsko-białoruskiego. Ale to też są cele polityczne. Nigdy nie ukrywam tego, że moje motywacje wiążą się częściowo z faktem, że Polska jest w szczególny sposób zainteresowana przyszłością Białorusi. Bo organizacje międzynarodowe, takie jak NATO czy Unia Europejska, będą istniały albo nie, formuły ich funkcjonowania będą się na przestrzeni lat zmieniać. Natomiast na pewno nie zmieni się fakt, że Polska będzie graniczyła z Białorusią, tak jak graniczy od stuleci, bo nie przeniesiemy Polski do Portugalii.

Czy będą takie sojusze i układanki (geo)polityczne, czy inne, Białoruś pozostanie naszym sąsiadem, z którym dzielimy kawał wspólnej historii. Ale oczywiście decyzje, żeby tego sąsiada wspierać, żeby stawiać na białoruską patriotyczną inteligencję – to są decyzje polityczne.

– Biełsat jest postrzegany przede wszystkim jako alternatywne źródło informacji, komentarzy czy analiz dla Białorusinów i jednocześnie jako medium zaangażowane, dające głos środowiskom stricte opozycyjnym. Czy Biełsat jest też zainteresowany – zakładając na moment, że pojawia się dobra wola drugiej strony – wchodzeniem w jakikolwiek dialog z białoruskimi środowiskami oficjalno-rządowymi?

– Bylibyśmy jak najbardziej zainteresowani dialogiem, gdyby druga strona była nim zainteresowana. Chcielibyśmy rozmawiać np. o rejestracji Biełsatu – ale oni nie chcą. Jest też kwestia udziału ludzi administracji Łukaszenki w naszych programach. Na szczęście coraz częściej urzędnicy udzielają nam wypowiedzi – w programie publicystycznym nie wystąpią, ale „setkę” niektórzy dadzą. Jednocześnie jednak już trzy razy odmówiono nam rejestracji biura. To daje niezły obraz naszego specyficznego statusu. A w tej chwili mamy jeszcze w dodatku na karku proces. Pewien człowiek, właściciel firmy instalującej anteny satelitarne, twierdzi, że założył firmę „Biełsat” i skarży nasz znak towarowy. Sprawa przetoczyła się przez sąd już dwa razy. Za pierwszym zostaliśmy uznani za winnych naruszenia praw, ale później sąd najwyższy oddalił jego skargę. W czerwcu nieoczekiwanie zastępca prezesa Sądu Najwyższego Białorusi wniósł jednak rewizję nadzwyczajną do tego wyroku.

– Jak Pani interpretuje tego rodzaju wahania postaw władzy wobec Biełsatu? Taktyka „dobrego i złego policjanta” czy odzwierciedlenie aktualnych stosunków politycznych i dyplomatycznych między Polską a Białorusią?

– Oczywiście nasza sytuacja ma zawsze związek z bieżącym

stanem stosunków polityczno-dyplomatycznych. To, że wciąż funkcjonujemy, że posiadamy swój półoficjalny status, jest w jakiejś mierze wypadkową tych stosunków. Trudno, aby było inaczej, skoro jesteśmy finansowani przez polski rząd oraz rządy kilku krajów zachodnich (Szwecja, Norwegia, Kanada, Holandia) i jesteśmy „podwiązani” pod polską telewizję publiczną. Ale opisane wcześniej zachowanie jest też typowe dla władz białoruskich w ogóle – wychodzą one z założenia, że aby mieć z czego ustępować w negocjacjach, trzeba najpierw posunąć się dwa kroki do przodu. Zawsze lepiej rozpętać jakąś awanturę, z której można się później wycofać – i uszczęśliwić wszystkich! Jestem przekonana, że np. niedawne wypuszczenie jednego z więźniów politycznych, Białackiego, to ma to być gest na rzecz Zachodu. Ale zawsze gdy robi się duży gest, można jednocześnie zrobić mały gest w przeciwnym kierunku.

– Mówi się, że media odgrywają szczególnie istotną rolę w konflikcie, jaki ma miejsce na Ukrainie. Dotyczy to w szczególności mediów rosyjskich i prowadzonej przez nie zarówno w kraju, jak i za granicą kampanii propagandowej. Jak postrzega Pani w tym kontekście działanie polskich mediów. Jak radzą sobie z omijaniem raf propagandy rosyjskiej, a z drugiej strony – z utrzymywaniem równowagi między obroną polskiego interesu narodowego a zwykłą dziennikarską rzetelnością?

– Wydaje mi się, że w sprawie ukraińskiej polskie media radzą sobie całkiem nieźle. Z jednym zastrzeżeniem: już od dawna zredukowaliśmy swoją zdolność do relacjonowania wydarzeń „z pierwszej ręki”, likwidując w ramach oszczędności korespondentów, programy reporterskie itp. W związku z tym, że brakuje informacji z pierwszej ręki, często się je niestety upraszcza, nie będąc w stanie na odległość uchwycić wszystkich niuansów opisywanej sytuacji. To efekt cięć, jakich dokonano w ciągu ostatnich kilkunastu lat, które oczywiście nie dotyczyły tylko Polski. Pamiętam, że gdy byłam korespondentką TVP w Kosowie, byliśmy, oprócz mediów rosyjskich, jedynym obecnym tam medium wschodnioeuropejskim. Ale byliśmy. I nie wysłano

nas na 3 dni, co jest częstą praktyką w dzisiejszych warunkach. Ale i na tym tle trzeba stwierdzić, że polskie media stanęły w ostatnich miesiącach na wysokości zadania. Wiele redakcji stanęło na głowie, żeby wysłać na Ukrainę korespondentów, a braki po stronie mediów głównego nurtu uzupełniane były przez szeroką reprezentację mediów niszowych: od Dawida Wildsteina z „Gazety Polskiej Codziennie” po Pawła Pieniążka z „Krytyki Politycznej”. Na szczególną wzmiankę zasługuje związany z Radiem Wnet niezależny reporter Paweł Bobołowicz, który bez wytchnienia nadaje z Ukrainy już od wielu miesięcy. Dopiero w ostatnich tygodniach media trochę sobie odpuściły Ukrainę.

– Wspomniała Pani o redukcjach zagranicznych placówek polskich mediów i o wpływie, jaki wywarły one na poziom informacji z zagranicy. Czy jest szansa na choćby częściowe naprawienie szkód, które zostały wyrządzone? Czy polskie media publiczne powinny zainwestować w pozyskiwanie informacji ze świata z pierwszej ręki?

– Pokazywanie wydarzeń z zagranicy nigdy nie będzie się opłacało komercyjnie. Jednocześnie niezapośredniczony dostęp do informacji ze świata i wiedzę, jaką on daje, uważam za sprawy niezwykle potrzebne. Dlatego powinien to być podstawowy element misji mediów publicznych. Pokazanie ludziom świata – ze szczególnym uwzględnieniem tego, co „za miedzą” – to najlepszy sposób na prewencyjną walkę z różnego rodzaju stereotypami. Bo jeśli się nie dostaje żywej informacji, żywej wiedzy, to widzi się tylko to, co sobie człowiek wyobraża i co chce widzieć. W mediach komercyjnych nie ma już dziś prawie wcale informacji ze świata. Chyba że nastąpi jakaś straszna katastrofa albo kataklizm, wtedy włącza się migawka. Są to zwykle informacje z antypodów, ponieważ materiały bierze się z agencji informacyjnych, które zajmują się przede wszystkim tym, co interesuje Anglików i Amerykanów. Widzowi z niczym się te przypadkowe informacje nie łączą, nie budują żadnej szerszej perspektywy. Szanse na przeprowadzenie w najbliższym

czasie pożądanych inwestycji w media publiczne są niestety mizerne, ale nie tracimy nadziei.

– Czy powinniśmy mieć polską telewizję nadającą dla publiczności zagranicznej? Może pod tym względem warto – paradoksalnie – wziąć przykład z Rosji?

– Mówi się o utworzeniu kanału o nazwie Polska. To mogłoby być bardzo dobre, jeśli by mieć na to sensowny pomysł. Martwię się, że w tym momencie projekt jest mało przemyślany, że kroi się telewizja projektowana przez urzędników, a więc „ni pies, ni wydra – coś na kształt świdra”. Przede wszystkim jest kwestia językowa. Ponieważ trudno się zdecydować pomiędzy wersją anglojęzyczną a rosyjskojęzyczną, proponuje się utworzenie kanału polskojęzycznego z angielskimi i rosyjskimi napisami. Takiej telewizji nikt nie będzie oglądał. Trzeba iść na całość albo wcale. Optymalnie byłoby moim zdaniem, gdyby stworzono zarówno kanał anglojęzyczny, jak i rosyjskojęzyczny, choć pilniejszą sprawą jest chyba ten drugi. Rosja, oprócz inwestowania w międzynarodowy, anglojęzyczny kanał Russia Today, bardzo dba także o to, żeby jej najważniejsze media krajowe docierały na tzw. bliską zagranicę. Jest to poważne wyzwanie dla Polski – obecność informacyjna Polski w sąsiednich krajach jest sprawą szczególnie istotną. Niestety nie mamy na to wyzwanie prostej odpowiedzi – nie łączy nas z naszymi sąsiadami wspólny język; nie bardzo też wyobrażam sobie jeden przekaz dla wszystkich w sensie merytorycznym.

W latach 1990. zaprzepaściliśmy bardzo wiele z naszego potencjału medialnego – zarówno jeśli chodzi o informacje ze świata w Polsce, jak i o przebijanie się za granicę z naszym przekazem. Tę ostatnią lukę chętnie i skutecznie wypełniły w wielu przypadkach media rosyjskie.

– Pojawiły się też koncepcje utworzenia alternatywnego medium rosyjskojęzycznego w ramach czy też przy wsparciu instytucji unijnych. Jak Pani je ocenia?

– Pomysł wydaje mi się słuszny i wartościowy. Ale czy jest on możliwy do zrealizowania to już niestety osobna sprawa. Po pierwsze, taka telewizja musiałaby być telewizją promującą Europę – nie w sensie promowania Komisji Europejskiej, biurokracji brukselskiej itp., ale europejskiej różnorodności kulturowej, obyczajowej i krajobrazowej. Plus telewizja informacyjna, naturalnie. To mogłaby być mocna odpowiedź na Russia Today. Podstawowy problem, który skłania mnie do wątpliwości co do powodzenia takiego projektu, to pieniądze. Wedle moich, bardzo skromnych szacunków, 25 mln euro rocznie to minimum tego, co trzeba byłoby zainwestować na wstępie. Aby zdobyć tego rzędu pieniądze na taki cel, trzeba mieć dla niego bardzo jasne, jednoznaczne poparcie polityczne. W Unii może być o to trudno – jak powiedział mi ostatnio pewien ważny funkcjonariusz jednej z europejskich telewizji: „Nie chciałbym być dyrektorem telewizji, która ma 27 właścicieli”. Dlatego bardziej realistyczne wydawałoby mi się ufundowanie takiego projektu w gronie kilku zainteresowanych państw (tak jak odbyło się to w przypadku niemiecko-francuskiej telewizji ARTE), np. w partnerstwie polsko-niemiecko-skandynawskim.

– Czego ewentualni architekci nowych projektów medialnych na Wschodzie mogliby się nauczyć z doświadczeń Biełsatu?

– Zbudowaliśmy naszą telewizję – pracując równolegle po dwóch stronach polsko-białoruskiej granicy – w warunkach w zasadzie partyzanckich i udało nam się ją utrzymać przy życiu przez kolejne 8 lat. Mało tego, przez ten czas niezwykle się ona rozrosła – pracują dziś dla nas dziesiątki dziennikarzy. Zgromadziliśmy dzięki temu unikalny kapitał doświadczeń z pracy w tym regionie – zarówno w wymiarze logistycznym, jak i kulturowym – i chętnie byśmy się nim dzielili. Niestety urzędnicy zwykle nie są nastawieni na korzystanie z zewnętrznych kompetencji. Oczywiście nie jest powiedziane, że doświadczenia i sposoby działania z Białorusi nadawałyby się do łatwego „przeszczepienia” w inne miejsca, np. do Rosji, ale na pewno lepsza taka wiedza niż żadna.

– Dziękuję za rozmowę.

Z Agnieszka Romaszewską rozmawiał Marcei Sommer

Źródło: [Nowy Obywatel](#)